

Teksty Drugie 2005, 1-2, s. 108-118



Słowacki i jego dusza

Ewa Łubieniewska

Słowacki i jego dusza

Psychoanaliza w badaniach literackich nie miała w Polsce przychylniej prasy; do niedawna nie wypadało mówić o niej w dobrym towarzystwie inaczej niż z przy-mrużeniem oka. W Europie Zachodniej czy Ameryce zażarte dyskusje przeciwników i zwolenników Freuda owocowały polemikami, konferencjami i publikacjami z zakresu psychologii sztuki, w polskiej krytyce literackiej szukanie związków literatury z psychologią torowało sobie drogę powoli. Publikacje z tej dziedziny spopularyzowały wprawdzie niektóre tezy metodologii badawczych korzystających z teorii wiedeńskiego psychiatry (w ich obrębie powstały między innymi pojęcia „fantazmatu” czy „mitu personalnego artysty”, którym przyznano prawo bytu). Próby interpretacji literatury w duchu konsekwentnie pojmowanego freudyizmu zdarzały się jednak dość rzadko.

Polonistyka lat międzywojennych okazała zjawisku więcej zrozumienia i szacunku, czego koronnym dowodem jest powstałe w roku 1930 studium Gustawa Bychowskiego *Słowacki i jego dusza*, staraniem Danuty Danek wznowione (po długich poszukiwaniach zainteresowanego publikacją edytora) przez krakowskie wydawnictwo Universitas¹. Lektura okazała się prowokująca i w swych generalnych konstatacjach zaskakująco współczesna. Autorka wstępu i opracowania krytycznego anonsuje ją w taki sposób: „A oto książka, która wprowadza w żywe rozumienie podstawowych psychoanalitycznych pojęć i twierdzeń, bo ukazuje ich treść w powiązaniu z doświadczeniem konkretnego człowieka – z jego sposobem przeżywania własnej biografii i własnych dzieł” (s. V). Zapowiedź ta oddaje istotę rzeczy; próba wnikięcia w mroki osobowości niezwykłego człowieka i artysty stwarza czytelnikowi możliwość obserwacji praktyki psychoanalitycznego badania dzieła sztuki.

^{1/} G. Bychowski *Słowacki i jego dusza. Studium psychoanalityczne*, wstęp i opr. D. Danek, Universitas, Kraków 2002. <http://rcin.org.pl>

Łubieniewska Słowacki i jego dusza

Zwolennicy tej metody poczynają sobie często dość bezceremonialnie; zaletą książki Bychowskiego jest wielka delikatność i szacunek, towarzyszące komentarzowi w próbach sondowania procesów psychicznych, które pozostawiły literacki ślad w dziele poety. Przenikliwość i precyzja dokonywanych analiz służą zbudowaniu wiarygodnego konterfektu: Słowacki ukazuje się oczom czytelnika jako człowiek targany przez całe życie wewnętrznymi konfliktami, dla których literatura stanowiła zbawcze ujęcie. Psycholog stara się uzgodnić chronologiczny porządek rozpatrywania poszczególnych utworów z porządkiem psychoanalitycznego wywiadu, równolegle zaś, na prawach pewnego *constans*, odwołuje się do *Króla Duchy* i kręgu innych pism genezyjskich. Autor studium stawia bowiem tezę, że koncepcja duchowej ewolucji to ukoronowanie rozwoju osobowego twórcy; nieświadoma wprawdzie, lecz nie tracąca przez to na znaczeniu

wielka projekcja własnego dążenia do światła i wyzwolenia. Duch, odrzucający dawne kształty po to, ażeby przybierać nowe i coraz doskonalsze – to własna jaźń poety, która pod nakazem ja idealnego wyzbywa się dawnych swoich popędów i w ciągłej sublimacji na coraz wyższy podnosi je szczebel. Ewolucja własnego ducha staje się ewolucją wszechświata. (s. 315)

Oglądana z tej perspektywy staje się nauka genezyjska poetyckim uzewnętrżeniem rozwojowego procesu, co uzasadnia prawomocność zastosowania narzędzi psychoanalizy.

Jaki przynosi ono efekt? Znane fakty z dzieciństwa poety uzyskują nowe znaczenia; przebieg jego drogi życiowej nabiera cech nieuniknionej konieczności a irytujący wielu wczesnych biografów dziecięcy narcyzm Słowackiego okazuje się fundamentem jego późniejszego projektu samodoskonalenia: „Narcyzm oznacza [...] nie tylko ukochanie samego siebie, ale i przecenianie własnej mocy, wiarę w potęgę swych pragnień, których w tym stadium rozwoju jaźni nie odróżnia się ściśle od rzeczywistości” (s. 10). Postawa ta powoduje paradoksalny ogląd świata: idea osobowej transgresji, przekraczająca granice rzeczywistych możliwości ludzkich, okazuje się dla mistyka jedynym celem „realnym”, natomiast przystosowanie do warunków ziemskiej egzystencji postrzegane jest jako zagrażająca postępowi ducha fikcja. Psychoanalityk powiedziałby, że „idealne” Ja odwraca znaki wartości, utrzymując stan burzliwego napięcia między sferą popędów i uczuć niskich, a sferą imperatywów moralnych.

Pojęciu „ponad-jaźni” (czyli freudowskiemu *super ego*) Bychowski poświęcił sporo uwagi, ono bowiem od pierwszych dni życia staje się „odbiciem zasad i nakazów, których źródłem są te wszystkie osoby, które są dla dziecka autorytetem, które otacza ono czcią i miłością” (s. 11). Spostrzeżenie to dotyczy w pierwszym rzędzie rodziców, a ponieważ dyktując wzory postępowania pierwsi opiekunowie stanowią zarazem (jak twierdzi Freud) najwcześniejszy obiekt infantylnych pożądań, emocje wobec nich muszą być z natury rzeczy ambiwalentne. Uczuciom pozytywnym towarzyszy zatem cała gama negatywnych: ślepe wobec zasad moralnych pragnienie przyjemności, zazdrość i gniew wobec dorosłego „rywala”, potrzeba zaborczej

Roztrząsania i rozbiory

wyłączności i tak dalej. Afekty te wywołują podświadome poczucie winy, wcale jednak nie ustają za jego sprawą; osąd moralny każe je wprawdzie uciszyć, ale mimo to trwają w najgłębszej warstwie duszy, oczekując bezwarunkowego spełnienia. Jednostka chce się ich pozbyć, a zarazem pragnie je zaspokoić.

Rozwiązywanie tej kwadratury koła może – na poziomie świadomej refleksji – przybrać kształt postulowanej hierarchii wartości. Ciekawym świadectwem takiego obrotu sprawy jest, zdaniem Bychowskiego, odnotowane przez poetę wspomnienie jego chłopięcej modlitwy o pośmiertną sławę za cenę ofiary z wszelkich życiowych satysfakcji. Prośba u małego dziecka dość niezwykła: gest pokutny powiązany tu został z oczekiwaniem nagrody. W perspektywie freudowskiej sugerowałoby to podświadomą chęć ukarania siebie za grzeszny charakter pragnień (skierowany na osobę matki popęd erotyczny nie tylko łamie tabu kazirodztwa, ale też stawia dziecko w sytuacji rywała wobec ojca). Jednakowoż zauważalna w modlitwie narcystyczna duma powoduje, że mimo przyjętej dobrowolnie kary, „Ja idealne” poety czuje się potencjalnie lepsze, większe, bardziej godne miłości niż wybrany przez matkę rodzic, a tym samym – zasługuje na przyszłą nagrodę. Przesunięcie momentu jej otrzymania w nieokreśloną przyszłość łagodzi poczucie straty, pozwalając żywić nadzieję na jakąś formę zadośćuczynienia. Fundamentem tych oczekiwań jest zapamiętała potrzeba potwierdzenia własnej wartości.

Wyobraźnia pełni tu rolę prawdziwego koła ratunkowego:

Wygórowany narcyzm doznaje, musi doznać na każdym kroku obrazy, rzeczywistość zdaje kłam śmiesznym dzieciennym snom o potędze, trzeba z nich zrezygnować, ale zupełnie wyrzec się ich nie można, więc rzutuje się je w daleką, najdalszą przyszłość, tak jak gdyby się mówiło: kiedy mnie już nie będzie, to wtedy wielkość moja nikomu nie będzie przeszkadzała, wtedy ją uznają – a może też wtedy żałować będą, że nie chcieli dać wcześniej tego, co mi się należało, ba, co i się już teraz należy. (s. 19)

Zawiłości psychiczne dziecięcej uczuciowości stanowią więc, w jego przekonaniu, zawiązek przyszłej struktury systemu genezyjskiego, w którym układ sił między Stwórcą i Duchem odpowiada relacji między rodzicem a synem.

Znamienne jest tu zwłaszcza powtarzające się w różnych dziełach Słowackiego następstwo kilku motywów: buntu wobec Pana, pokuty buntownika za obrazoburcze czyny, a w konsekwencji – nagrody, jaką jest dobrowolne przekazanie mu mocy Ojca. Przeistoczony w Chrystusa Lucyfer sam staje się Bogiem, dlatego szatańskość bohaterów Słowackiego nigdy nie jest jednoznacznie piętnowana, znać na niej ślady autorskiej identyfikacji. Także inny stały pierwiastek genezyjskiego systemu – traktowanie materii i związanej z ciałem zmysłowości jako zagrożenia dla duchowego postępu – uważa Bychowski za rezultat sublimacyjnego przekształcenia uczuciowej ambiwalencji, powodowanej silną więzią emocjonalną poety z matką. Rezerwa, niechęć i lęk przed cielesnym aspektem ludzkiej egzystencji, zauważalne w twórczości poety, to dla freudysty przekonujący dowód „nieprzeciętej pępownicy” między rodzicielką a jedynakiem: „jego *libido* nigdy się właściwie od matki nie oderwała” (s. 43) – komentuje.

Lubieniewska Słowacki i jego dusza

Zrozumiałe więc, że galerię kobiet w dziełach Słowackiego autor studium podaje bacznej obserwacji, szukając śladów metamorfoz, jakim obraz matki podlega w konterfektach niewieścich postaci. Idealizacja ich rysów (jako trybut złożony konwencji romantycznej) kłóci się tu częstokroć ze skłonnością do zabarwiania kobiecego wizerunku ciemną tonacją. Uczucia bohaterów wobec partnerek pełne są sprzeczności: miłość i podziw łatwo przechodzą w potępienie (co sprawia wrażenie projekcji na twory fikcjonalne poczucia winy doznawanego podświadomie przez twórcę). Reperkusje urojonego poczucia „odrzućenia” (któremu Słowacki niejednokrotnie dawał wyraz *expressis verbis*) mogą „ożywać” w świecie doznań postaci literackich, zdradzających reakcje urażonej dumy (zazdrość, pogardę, agresję, potrzebę odwetu na ukochanej). I rzeczywiście: spotykające bohaterkę w intrydze peyretie prowadzą niekiedy do symbolicznego „ukarania winnej”...

Bychowski dostrzega w tych pomysłach fabularnych próby nieświadomego powrotu do konfliktów cechujących chłopięcą fazę dorastania, w której ujawnia się „kompleks Edypa”. Freudysta uważa ten etap rozwoju za naturalny, jednak permanentne powracanie w twórczości Słowackiego sytuacji manifestujących niewygasłe urazy traktuje jako dowód niemożności zerwania infantylnych więzi. Nieśmiałe próby obdarzenia zainteresowaniem przyrodnych sióstr, a potem ich przyjaciółki, Ludwiki Śniadeckiej, zachodzą wyłącznie w świecie wyobrażeń; poeta uporczywie wybiera nieosiągalny przedmiot adoracji. Jego uczucie (może z podświadomego lęku przed złamaniem tabu kazirodztwa?) pozostaje nieodwzajemnione i niespełnione. W rezultacie pragnienie miłości powraca do swego źródła, powodując, że w życiu emocjonalnym matka króluje nadal. Dominacja ta musi budzić odczucia dwoiste, o dużej skali napięć, od identyfikacji z podziwianym ideałem, po bezwzględne, odrzucenie kobiecej „miękości” – także w obrębie cech własnej psychiki.

Niemożność znalezienia „neutralnego” obiektu uczuć pogłębia narcyzm, wytwarzając „skłonność do ukochania istoty możliwie do siebie samego – z owych wczesnych okresów – podobnej, a więc możliwie i pod względem płci. Jest to jeden z procesów, które prowadzą do nastawień homoerotycznych” (s. 97) – odważnie stawia delikatną kwestię psycholog. Natychmiast jednak (w przekonaniu, że tendencje te stanowią normalny szczebel psychoseksualnego rozwoju człowieka) konkluduje krępująco: „wierne serce poety, niezdolne do wyrzeczenia się, zatrzymuje [tym sposobem] obraz swych najukochańszych istot – ojca i matki – oraz samego siebie” (s. 100). Tu wątek się urywa; brak w analizowanych dokumentach niezmiernie interesujących świadectw „kobięcych” identyfikacji twórcy (na przykład listów do matki z kwietnia 1840 roku, które dla zmylenia cenzury napisał on jako „Zosia”), zabrakło motywu Ganimedesa, występującego kilkakrotnie w korespondencji, lirykach i pismach mistycznych Słowackiego oraz we fragmentach *Króla-Ducha*. Tymczasem w nieświadomionych fantazjach o zabarwieniu „homoerotycznym” (jak je w książce określono) można by upatrywać źródeł lęku poety przed zmysłowością. Ten trop (ważny dla zrozumienia uwarunkowań psychicznych, na których podłożu zrodził się szczególnie typ etyki wyznawanej przez genezyjskiego

Roztrząsania i rozbiory

rewelatora) Bychowski pomija – być może dla uniknięcia skandalizującej sensacji. Podkreśla natomiast (powołując się na przykład Heliany i Eoliona) ważność w antropologicznej utopii genezyjskiej motywu oczyszczenia ewoluującej ludzkości z „brudu” fizycznych pożądań, sugerując, iż w źródłach tej idiosynkrazji tkwią ślady nieakceptowanych uczuć kazirodczych autora *Samuela Zborowskiego*.

W tym też duchu – jako halucynację odsłaniającą mroki podświadomości – interpretuje psycholog przeżycie mistyczne Słowackiego, zwane „wizją ognistą”: „W widzeniu więc poety ognistość oznaczałaby projekcję własnego ognia wewnętrznego, odrzucenie go, a jednocześnie nadanie mu charakteru kosmicznego, sankcji wielkości Bożej i Chrystusowej” (s. 339) – pisze. Ta efektowna teza nie uśmierza jednak nasuwających się czytelnikowi wątpliwości, czy działanie mechanizmów psychicznych pozwala bez reszty wyjaśnić doznanie mistyczne? Utożsamienie *libido* z popędem seksualnym redukuje naturę człowieka do sfery jego biologicznych popędów. Jung, dużo ostrożniejszy w tej kwestii, traktował *libido* szerzej, jako ludzki potencjał energetyczny; Bychowski pozostaje konsekwentnym wyznawcą Freuda, w ślad za swoim nauczycielem podkreśla natomiast fakt, że energia *libidalna* może podlegać różnym formom sublimacji. Dzieło poety stanowi tego najwspanialszy dowód; w autorskiej intencji rozprawa o „duszy” Słowackiego umożliwia obserwację przeistaczania determinujących psychikę praw natury – w proces kultury. Konieczność ofiary za „grzech globowy” w imię ewolucji Ducha (podstawowe założenie nauki genezyjskiej) uznana została zatem za szczęśliwą racjonalizację wewnętrznych konfliktów twórcy. Takie postawienie sprawy pozwala dostrzec osobliwą wspólnotę w obrębie antropologii Słowackiego i Freuda. Wprawdzie polski romantyk sformułował zasady duchowego rozwoju w języku mistyki, zaś autorowi *Kultury jako źródła cierpienia* obcy był spirytualizm, jednak warunkiem dojrzewania do człowieczeństwa było dla obu maksymalistów ujarzmienie biologicznej podstawy ludzkiego bytu.

Kompensacyjnej roli tworzenia, zastępującego w świecie autora *Godziny myśli* wszelką inną życiową aktywność, poświęcił Bychowski sporo miejsca. „Ognista wyobraźnia”, której „na pożarcie” rzucił bohater poematu „wszystkie czucia skarby”, ratuje przed samobójstwem, którym grozi neurotyczna niezgoda na porządek świata, „co anioły smuci”. Zaznaczając, że nerwica i twórczość czerpią „swój materiał z tego samego źródła”, psycholog konstatuje: „jeśli i jej objawy są tak samo zamaskowanym «powrotem stłumionego», to rozumiemy teraz lepiej znaczenie twórczości w ekonomice psychicznej, tak jak je Słowacki w przeciwstawieniu dwóch przyjaciół uzmysłowił” (s. 105-106). Uczuciowość „rzuciona na pożarcie” wyobraźni pozwala wprawdzie obumrzeć jakiejś części tożsamości młodego marzyciela, ale dzięki temu rodzi się dzieło sztuki. Neurotyczny mechanizm zostaje więc ogromnie dowartościowany, co wydaje się dyskusyjne.

Bychowski, czytając *Godzinę myśli* jako wyznanie osobiste autora, przypisuje jego rezygnacji z uczuć wartość świadomej „ofiary”, złożonej w imię głoszonych ideałów przez „genezyjskiego ducha” poety. Tymczasem korespondencja Słowackiego z lat czterdziestych zadaje kłam tak jednoznacznej interpretacji; piszący bo-

Łubieniewska Słowacki i jego dusza

leje tu nad własnym sercem, które „wyszło jak źródło w dolinie Jozefata”, posuwa się nawet do zwierzenia: „A jednak czuję, że sam w i n i e n j e s t e m – że była we mnie jakaś siła nie użyta – jakieś wojsko duchów nie wyprowadzone do walki – [...] jakaś głąb nieodkryta [...] – czego ja sam lękałem się wyprowadzić na jaw – i część zimna, marmurowa mojej natury zwyciężyła”². Słowa te kwestionują dobrowolność (więc i owocność) wątpliwej „ofiary”. Stawia to pod znakiem zapytania tezę o pozytywnych skutkach uczuciowych „wyrzeczeń” w ukształtowaniu się osobowości twórcy.

Także dobrodziejstwa sublimacyjnego przymusu nabierają dwuznaczności w kontekście przesłania *Godziny myśli*. Szukający poezji „w świecie” idealista ginie wprawdzie „marzeń zdradą”, podczas gdy drugi z bohaterów (poetyckie *alter ego* autora) salwuje się ucieczką „w marzeń ciszę” wypełnianą tworzeniem. I o nim wszakże powiada narrator: „Tak w rozstania godzinie młody anioł zginął” (w. 312). Terapia przez sztukę stanowi wybawienie dość problematyczne dla wewnętrznego rozwoju człowieka, skoro twórczość okazuje się rodzajem usankcjonowanego społecznie cząstkowego *s a m o b ó j s t w a o s o b o w ó ś c i*, która nie widzi innych dróg samorealizacji niż zapełnianie słowami kartki papieru...

Ugruntowany dość silnie obiegowy sąd o pozytywnym znaczeniu zaburzeń psychicznych dla twórczości artystycznej Bychowski zdaje się wspierać autorytetem Freuda. Tymczasem kontynuatorzy psychoanalizy przypisują na ogół nerwicowym mechanizmom wyłącznie destruktywny charakter. Zdaniem Karen Horney nerwica, uniemożliwiając człowiekowi pełny rozwój osobowości, jest przeszkodą, nie warunkiem kreacji. Jeśli neurotyk tworzy, czyni to *p o m i m o* swojej nerwicy, a nie – dzięki niej³. Znamienne, że i polscy romantycy, początkowo zafascynowani chorobą umysłu jako stanem wyodrębniającym jednostkę spośród szarej zbiorowości, odeszli od tej nobilitującej oceny pod wpływem Towiańskiego (który dostrzegał w chorobie przejaw słabości, a nie siły ducha).

Pogląd ów, podzielany przez Słowackiego, znajduje aprobatę w oczach autora rozprawy, który jednak zdaje się nie dostrzegać ostatecznych konsekwencji imperatywów moralnych, jakie twórca stawia przed ewoluującą ludzkością. W nauce genezyjskiej bezwzględnej eliminacji wydają się bowiem podlegać nie tyle ludzkie ułomności, ile cielesność ludzkiego bytu jako taka. Człowiek przyszły to w imaginationsi poety byt wyłącznie duchowy, idealny, pozbawiony wszelkiej sfery popęduwej. Wojna, „którą wiedzimy z szatanem, światem i ciałem”, toczona w duszy Słowackiego nieprzerwanie i kierowana tak zaciekłe przeciw odpowiedzialnej za powstanie materii Ewie-rodzicielce, to wojna przeciw biologicznej podstawie bytu. Czy więc pierwiastek destrukcyjności, któremu badacz skłonny jest przypisać funkcję stymulującą rozwój duchowy, nie jest w istocie przejawem choroby ducha?

^{2/} *Korespondencja Juliusza Słowackiego*, opr. E. Sawrymowicz, Wrocław 1962, t. 1, s. 487, list z czerwca 1842 (podkr. moje – E.Ł.).

^{3/} K. Horney *Nerwica a rozwój człowieka*, przeł. H. Grzegorzewska, Warszawa 1978.

Roztrząsania i rozbiory

Bychowski nie przyjmuje do wiadomości podobnej diagnozy: „Służba wielkim ideałom staje się jednocześnie drogą do opanowania kobiety, do przezwyciężenia jej w samym sobie i wiąże się jeszcze ściślej z wyrzeczeniem się jej, z którego, jako z pierwotnej konieczności, była wyrosła” (s. 93) – twierdzi. Sąd to dość jednostronny; warto nadmienić, że na przykład Jung uważał niemożność akceptacji kobiecej strony swego Ja za wybitnie niekorzystną dla rozwoju osobowości⁴. Tendencja ta groziła wręcz *in flammam*, czyli śmiercią autentycznej cząstki psychiki pod przybraną przez człowieka społeczną maską. W przypadku Słowackiego – maską genezyjskiego rewelatora. Siła powracającej fali kłębiących się pod tą maską afektów (nie tylko stłumionych pragnień erotycznych, ale też niepohamowanej agresji, mściwego okrucieństwa, nieokiełznanej dumy i tak dalej) może więc świadczyć dobitnie o tym, że postulowane przeobrażenie nie zaszło faktycznie w najgłębszych warstwach jaźni twórcy, choć „zastępczo” dokonało się w jego dziele...

Z Jungowskiego punktu widzenia duchowa droga poety nie byłaby więc bynajmniej (co stara się udowodnić Bychowski) świadectwem imponującej przemiany, dokonanej w ludzkiej duszy pod wpływem procesu sublimowania sfery popędowej. Odwrotnie – byłby to tragiczny przykład *nie dedokonałej indywidualizacji*, której stanęły na przeszkodzie „sztywne” cechy psychiczne twórcy (między innymi jego narcystyczne nastawienie). Freudysta nie dostrzega w tej kwestii niebezpieczeństwa: „Okazuje się tutaj najdobitniej cała wielowarstwowość psychiki, która w górnych swych piętrach oczyszcza się i uszlachetnia, kiedy w dolnych wybuchają nadal dawne popędy, nieokiełzane jeszcze i nie uwzniośnione” (s. 283). Okiełznanie i uwznioślenie nastąpi w kolejnym akcie kreacji, skąd oczywisty wniosek, że sfera *id* traktowana jest jako „koło napędowe” twórczości. „Duch” kultury niewątpliwie skorzystał na owej psychomachii, ale czy zyskał człowiek, który wyimaginowaną sceną własnego wewnętrznego dramatu uczynił cały świat? Ba! – cały kosmos...

To retoryczne pytanie jest w istocie wyrazem zastrzeżenia, jakie – przy całym szacunku dla wyводу Bychowskiego – budzi niekiedy sposób praktykowania wybranej przezeń metodologii. Fundamentem freudowskiej koncepcji rozwoju osobowości jest dokonany przez zainteresowanego „wgląd” w mroki własnej psychiki, jako warunek ewentualnej przemiany. Pójścia tą drogą samodoskonalenia Słowacki kategorycznie odmawiał. Pisał w liście do Krasińskiego:

Wiesz co to jest prawo filozofii dawnej: *poznaj siebie samego* – nie jest to przestroga ani zachęta, abyśmy poznawali moralną naszą naturę – błędy i wady charakterowe, owszem, poznanie takich wad szkodziłoby człowiekowi... Nie powinien na nie patrzeć [...] ale owszem, przeciwną wiarę w anielstwo swoje urodzić...⁵

^{4/} C.G. Jung *Archetypy i symbole. Wybór pism*, wybór, wstęp i przekład J. Prokopiuk, Warszawa 1972.

^{5/} *Korespondencja Juliusza Słowackiego*, t. 2, s. 116.

Lubieniewska Słowacki i jego dusza

Bychowski zdaje się nie doceniać wagi tej autorskiej odmowy, może z racji podobnego jak w koncepcji genezyjskiej zafascynowania ideą metamorfozy człowieka. Co prawda w czasie, gdy psycholog pracował nad swoim studium, przeobrażenie to miało nastąpić za sprawą Freuda, nie Ducha, lecz autor marzył o nim z nie mniejszym niż romantyczny poeta entuzjazmem: „Kto wie czy przeniknięcie poznania psychoanalitycznego w głąb i wszcz ludzkości nie przeobrazi kiedyś samego typu człowieka?”^{6/} – pisał. Zwiedziony uporczywym dążeniem Słowackiego do szczytnych ideałów, jakby nie zauważał, że zadośćuczynienie tym żądaniom nie zmierza wcale do samooczyszczenia i udoskonalenia ich wyznawcy, lecz do zaprojektowania przezeń przyszłej rzeczywistości na miarę oczekiwań „upionego anioła”, który zawałdął duszą twórcy. Anielskie Ja idealne przejąć miało w jego utopii rygorystyczny dyktat nad całością ludzkiego życia, skazując na amputację tę część psychiki, którą twórca uznał za niegodną przyszłej, duchowej istoty. Pojęte w ten sposób anielstwo budzi trwogę; tak wiele w nim złowrogiej fascynacji cierpieniem, tak wielka pogarda dla „harfeczki kościanej” własnego ciała, tyle przejmującej aprobaty dla heroizmu śmierci jako krwawego strażnika genezyjskiego postępu. Zdrowy impuls, jaki stanowi dążenie do samorozwoju, prowadzi tu *de facto* do próby narzucenia światu porządku wartości wypracowanego przez – nie waham się tego napisać – neurotyczną cząstkę jaźni poety...

Być może przekraczamy teraz próg świadomości autora rozprawy o Słowackim? Można bowiem odnieść wrażenie, że kreśli on wyidealizowany, zgodny ze swymi życzeniami portret twórcy, czego efektem są interpretacje rozmiągające się niekiedy z duchem i literą poetyckiego tekstu. Wyłania się zatem kwestia zależności metod interpretacji: psychoanalitycznej i literackiej.

Bychowski niezmiernie przekonująco wyjaśnia, w jaki sposób wyobraźnia Słowackiego przekształca nieświadome podniety w kreację artystyczną; prowadzi czytelnika w głąb mrocznej sfery, w której wszystkie sprzeczne potrzeby, tęsknoty i pożądanja funkcjonują osobno, nic nie wiedząc o sobie wzajemnie; odnajduje utajone konflikty i pokazuje, jak wybuchają gwałtownymi potokami obrazów, jak przeistaczają się w osoby dramatu, determinując relacje między postaciami. Czytając jego pasjonujące studium, nie wolno jednak ani na chwilę zapominać o perspektywie, z której zostało napisane, by nie ulec złudzeniu, że bezwiedna chęć odreagowania osobowościowych zaburzeń to jedyna p r a w d z i w a racja powstania dzieła! Odkryte w tekstach treści psychiczne muszą pozostać tym, czym z perspektywy odbiorcy literatury być powinny: służebną, przeobrażaną w procesie tworzenia materią, która podlega sublimacji podczas modelowania fikcji artystycznej. Czasem jednak nawet komentator tak ostrożny, jak Bychowski, dokonuje uproszczeń, formułując hipotezy psychoanalityczne trudne do pogodzenia z krytycznym rozbiorem utworu.

Najbardziej uderzającym tego przykładem wydaje się analiza *Snu srebrnego Salomei*.

^{6/} Cyt. za *Wstępem* D. Danek do książki Bychowskiego, s. XXVII.

Roztrząsania i rozbiory

Szukając w perypetiach postaci śladów odreagowania tłumionych afektów, psycholog próbował obsadzić fikcyjne role „krwawej tragedii” prawdziwymi aktorami dramatu podświadomości twórcy. W wyniku tego (dość ryzykownego) zabiegu rola Semenki przypadła nieoczekiwanie... Augustowi Bécu, jako uzurpatorowi, który – niższy stanem ducha, niekochany i odepchnięty – ważył się jednak pretendować do ręki Salomei! W psychoanalitycznym porządku myślowym za hipotezę tą stoja może jakieś (wątpliwe) argumenty, jeśli jednak odniesiemy ją do dzieła literackiego, pomysł wprowadzenia oschłego i niemłodego już profesora Uniwersytetu Wileńskiego jako kozackiego watażki nabiera akcentów humorystycznych. Doktor Bécu, wyrwany z mroków domniemanych fantazji chłopięcych Słowackiego, trafia w rzeczywistość *Snu srebrnego Salomei* jak Piłat w *Credo*. Analityk, pochłonięty tropieniem znanych sobie mechanizmów psychicznych, ignoruje najwyraźniej organizujące utwór prawa substancji literackiej. Ignoruje, bądź bezwiednie usiłuje dopasować je do schematu. Pamięta bowiem o regułach artystycznej kreacji, gdy potwierdzają one stawiane wnioski (na przykład tezę o dziecinnej chęci ukarania osoby, reprezentującej matkę w przebiegu fabularnym), zapomina jednak o tych samych regułach, gdy zbudowany przez poetę obraz kłóci się z sugestiami komentatora (co w tym wypadku dotyczy wizerunku przywódcy chłopskiego buntu). Semenka, rozszyfrowany w psychoanalitycznym układzie symboli jako figura przedstawiająca nielubianego i pogardzanego ojczyzna, traci byt jako postać literacka.

A przecież w świecie utworu ma on pełną samoistość i ze swym skomplikowanym, głębokim rysunkiem psychologicznym wpisuje się znakomicie w poczet romantycznych bohaterów, naznaczonych byronicznym piętnem. Jego pozbawione nadziei na wzajemność uczucie do Salusi może budzić w odbiorcy sympatię, a poczucie własnej wartości (deprtantane przez silniejszych od niego) – szacunek. Nie sposób też zaprzeczyć, że Semenka wykazuje niekiedy wiele godności i zaskakującej delikatności. Wszczyzna wprawdzie bunt i szykuje okrutną pomstę swoim wrogom, ale nie waży się poniżyć ukochanej. Ostatecznie zaś, dotknięty przekraczającym ludzką miarę cierpieniem, przechodzi wielką metamorfozę duchową: męczeńska śmierć i pojednanie z Bogiem uwzniośla kozaka i wywyższa. Dodajmy wreszcie, że w dokładnie przemyślanej obsadzie *Snu srebrnego Salomei* występują tak wspaniałe nakreślone figury, jak Księżniczka, Sawa, Regimentarz (pełniące w obrębie akcji pierwszorzędne role), dla których w domniemanym konflikcie wewnętrznym autora brak odpowiedników.

Wszystko to znika z pola widzenia badacza, choć przecież ze wszech miar zasługuje na uwagę. I to nie tylko na uwagę historyka literatury, ale psychologa właśnie! W ukazanych doznaniach Semenki tyle bowiem resentmentów podobnych do przeżyć samego poety, iż warto byłoby postawić pytanie, czy nie z tym właśnie – w istocie tragicznym – bohaterem identyfikuje się Słowacki? Bychowski zarezerwował tę rolę dla Leona, Leon wszakże, choć przekracza w końcu własne podłostki, sprawia wrażenie postaci dużo mniejszego formatu. Może zresztą powołanie do życia obu bohaterów dało autorowi okazję do wyrażenia własnych, powikłanych emocji, a tym samym bezpiecznego uzewnętrznienia nieświadomej

Łubieniewska Słowacki i jego dusza

autoagresji? Wreszcie zaś do przekształcenia uczuć negatywnych w pozytywne: wszak i Leon i Semenko przechodzą, koniec końców, doniosłą, oczyszczającą przemianę, co można uznać za symboliczną projekcję przeobrażeń, jakie zaszły w psychice twórcy. Obraz jego osobowości traci zatem na braku uzgodnień między interpretacją psychologiczną a literacką.

Dzieło literackie zaś może stracić nieporównanie więcej. Dziwiąc się, że z dramatu o drażliwych, a nawet zenujących wątkach, uczynił matce Słowacki tak niefortunny prezent imieninowy, tropiciel motywów podświadomych znajduje tylko jedno wytłumaczenie: „W ten sposób spełnia się najgorętsze pragnienie poety – o połączenie się z matką woła w pewnych okresach nieomal każdy list – [...]” (s. 80) – orzeka, pomijając zupełnie możliwość świadomego przyjęcia przez poetę aluzyjnej wykładni utworu. Ta zaś wydaje się dość czytelna: nie kwestionując synowskich uczuć dramatopisarza, można przypuścić, że gra on również wieloznacznością słowa „matka”, będącego w romantyzmie synonimem pojęcia ojczyzny. Letarg i przebudzenie tytułowej bohaterki nie są tu przecie tylko romansową perypetią, lecz (zwłaszcza w świetle procektw Wernyhory) zakamuflowanym znakiem przyszłego zmartwychwstania „ojczyzny-matki”. Zanim ono nastąpi, wszystkie *dramatis personae* muszą przejść bolesną, unicestwiająca stare przewiny transformację, a dopiero wtedy, poślubiona ukochanemu „Salomea” zrodzi wolnego już od grzechu przodków potomka, okupując tym samym niechlubnie straconą niewinność...

Poeta posługuje się językiem nie tylko Edypowym, ale i Ezopowym, toteż dopiero, gdy dostrzeżemy ich wzajemną relację, zdołamy lepiej zrozumieć osobowość twórcy i trafniej odczytać przesłanie dramatu.

Lektura książki Bychowskiego skłania zatem do refleksji na temat sensu, sposobu i zakresu stosowania psychoanalizy w badaniu twórczości artystycznej. Trudno tu o wyłonienie reguł; badacz literatury podejmuje ryzyko zawsze na własną odpowiedzialność. Odczuwając jej ciężar powiedziałabym więc, że to samo dzieło sztuki – przez swą strukturę i język – „zaprasza” do psychoanalitycznych dociekań lub przed nimi „powstrzymuje”. Twórczość Słowackiego tego rodzaju podnieję, w moim przekonaniu, zawiera. Stany „nadzwyczajnej egzaltacji” (by posłużyć się terminologią epoki), epizody „psychotyczne” (na przykład halucynacje Lambra lub scena z udziałem Stracha i Imaginacji w *Kordianie*), motywy uczuć kazirodzych (stały rys miłości romantycznej) to zaledwie garstka przykładów, prowokujących do szukania odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób uwarunkowania jednostkowe i kulturowe łączą się w dziele literackim? Obsesyjne występowanie niektórych obrazów i ich specyficzna kolorystyka, bogactwo elementów mitycznych, zapisy snów poety w jego w *Dzienniku* – zachęcają do szukania utrwalonych w subiektywnym kształcie tajemnic podświadomości zbiorowej, wzywają do studiów nad funkcją archetypu w romantycznej myśli religijnej.

Aspiracja do roli duchowego prawodawcy ludzkości prowokuje zaś do wniknięcia w tajemnicę indywidualną. Nie każdy bowiem artysta wymaga od czytelnika, aby stał się wyznawcą jego światopoglądu, nie każdemu też dane jest zyskać posłuch, co w pewnej mierze udało się Słowackiemu. Nie tylko wtedy, gdy pod ko-

Roztrząsania i rozbiory

niec życia zgromadził wokół siebie nieliczne kółko apologetów, ale i pośmiertnie. Nawiązywali do myśli genezyjskiej entuzjaści idei „nowej ludzkości” (na przykład Wincenty Lutosławski), ginęli w imię straceńczego heroizmu młodzi żołnierze powstania warszawskiego. Aby zrozumieć jasne i mroczne aspekty „siły fatalnej”, która „przeanielonych zjadaczy chleba” prowadziła na śmierć, warto obejrzeć system wartości poety przez pryzmat jego skomplikowanej psychiki⁷. Konfrontacja taka pozwala zestawić obraz rzeczywistości przedstawiany przez artystę z wewnętrznymi mechanizmami, determinującymi jego sposób widzenia świata.

Studium Bychowskiego daje tę szansę. Częściowo dlatego autor, zafascynowany tyleż osobowością Słowackiego, co koncepcją psychoanalityczną Freuda, chciał za jednym zamachem ukazać owocność wysiłków duchowych swego bohatera i słuszność metodologii swego mistrza. A przecież, mimo dyskusyjności założeń, książka jest lekturą pasjonującą; inspiruje do dalszych poszukiwań i potwierdza – wbrew fanatycznym przeciwnikom wiedeńskiego psychiatry – że stworzył on podstawy języka, którym nadal operujemy, próbując zrozumieć ludzką duszę.

Ewa ŁUBIENIEWSKA

^{7/} Jan Józef Lipski, opracowując niegdyś metodologię badania osobowości twórczej, wspominał o możliwości napisania historii filozofii, która uwzględniałaby tę problematykę, por. J.J. Lipski *Osobowość twórcza*, „Pamiętnik Literacki” 1983 z. 3, s. 167.

